**10 czerwca 1939 rok**

Czarne, lśniące czystością bmw 326, ucho­dzące wówczas w Niemczech za jeden z najno­wocześniejszych samochodów, przemierzało, po pokonaniu przeszło stu sześćdziesięciu kilometrów, urokliwe tereny okalające Bad Polzin. Zmęczeni długą trasą podróżni nie zwracali pewnie uwagi na drogę, która od ja­kiegoś już czasu wiodła skrajem błyszczących w słońcu pięciu jezior, rozsypanych pomiędzy licznymi wzgórzami morenowymi, którym ko­lor różnych odcieni zieleni nadawały bukowe lasy. Teraz jechali nieźle utwardzoną szosą biegnącą wzdłuż Wogry, lewobrzeżnego do­pływu rzeki Dębnicy, mając po prawej stronie panoramę miasteczka z dominującym nad zabudowaniami wzniesionym z cegły kościo­łem ze strzelistą wieżą.

W samochodzie panowała cisza przerywana tylko od czasu do czasu kwileniem dziecka. Leżało ono na tylnym siedzeniu obok kobiety o szlachetnych rysach twarzy, którą niczym rama obrazu okalały wijące się jasne włosy. Co chwila spoglądała ona na becik, pilnując, by podczas hamowania czy ostrych zakrętów nie zsunął się z siedzenia, ale nie brała dziecka na ręce nawet wtedy, kiedy płakało. Mężczyzna siedzący za kierownicą był od niej znacznie starszy, ale jego aparycja zdradzała, że jesz­cze dziesięć lat temu mógł uchodzić za bardzo przystojnego. Teraz jednak siwiejące włosy były już mocno przerzedzone, a sylwetka w wielu miejscach zaokrąglona.

Mężczyzna prowadził samochód nerwowo, widocznie chcąc jak najszybciej dotrzeć do celu. Wydawał się nie zauważać, że ktoś oprócz niego znajduje się w samochodzie. Jechał pewnie, bez zastanowienia klucząc małymi uliczkami, co sugerowało, że trasę tę pokonywał już nie po raz pierwszy. Zostawili za sobą centrum miasteczka i po kilku kilometrach przebytych pośród gęstej roślinności tworzącej wokół drogi urokliwy tunel zatrzymali się przed okazałym budynkiem, którego architektura zdradzała, iż zaprojektowano go na początku dwudziestego wieku. Jego niewątpliwą osobliwością był taras zastawiony niemal całkowicie dziecinnymi wóz­kami – głębokimi dla maluchów i spacerowymi, przeznaczonymi dla nieco starszych dzieci.

Prawie równocześnie trzasnęły drzwi samo­chodu od strony kierowcy i pasażera.

– Dlaczego go nie wzięłaś? – ostro zapytał mężczyzna.

– Oj, zapomniałam.

Kobieta zawróciła do samochodu.

– Czyżbyś była zdenerwowana? Marzyłaś przecież o tej chwili, kiedy odzyskasz pełną wolność i nie będziesz musiała się ukrywać przed krewnymi.

– Nie kpij. Ale życie na pewno stanie się prostsze. Tyle że dla was, mężczyzn, zawsze takie jest. Nie znacie ograniczeń.

– Nie zaczynajmy od nowa, już mamy wszyst­ko przedyskutowane.

Kobieta trzymała już becik, ale jakoś tak bokiem, jakby wstydziła się jego zawartości. Nim weszli przez szerokie, oszklone drzwi, mężczy­zna odwrócił się, rozejrzał wokół i stwierdził:

– Mówiłem ci, że jest tu ładnie.

– A jakie to ma znaczenie? – prychnęła kobieta.

W obszernym holu wyłożonym marmura­mi po prawej stronie znajdowała się recepcja. Gdy tylko podeszli do wysokiej lady, kobieta położyła na niej dziecko, jakby przeniesienie go od samochodu wyczerpało ją całkowicie.

– Jesteśmy na dziś umówieni z dyrek­torem – zakomunikował mężczyzna jednej z recepcjonistek.

W tym samym niemal momencie otworzyły się drzwi w głębi sali i stanął w nich mężczyzna w mundurze Standartenführera.

– Doktorze, tu jestem, zapraszam.

Ruszyli w tamtą stronę, kobieta została jed­nak znacznie z tyłu, bo musiała zawrócić po becik, o którym znów zapomniała lub może starała się zapomnieć.

– Heil Hitler!

Funkcjonariusz w powitaniu wyciągnął pra­wą rękę do góry. Poczekali na kobietę i prze­puścili ją przodem, już bez obowiązkowego pozdrowienia ze strony dyrektora.

– Ho, ho! – Dyrektor pochylił się do ucha mężczyzny. – Mówiliście prawdę, dziecko takiej matki będzie ozdobą naszego ośrodka i wspa­niałym prezentem dla wodza. Nie mówiąc o tym – dodał pośpiesznie – że wasz status i osią­gnięcia badawcze także mają w takiej sytuacji znaczenie. Słyszałem, że postępy w uszcze­gółowieniu kryteriów rasowości zachwyciły samego Führera.

Mimo wyraźnej zażyłości panów przyjezdni musieli wypełnić długą, szczegółową ankietę obowiązującą każdego w takiej sytuacji. Od­powiedzi na niektóre z pytań musiały spra­wiać kobiecie trudność, bo na jej policzkach wykwitł spory rumieniec. Gdy oddali papiery, funkcjonariusz bez sprawdzania włożył je do szuflady, z której wyjął fotografię.

– Pozostaje mi już tylko pokazać państwu, jak wygląda w naszym domu ceremonia chrztu małych pensjonariuszy. Oczywiście otrzymają państwo zaproszenie na nią, gdy tylko zostanie ustalona data.

– Ale ja, ja… – kobieta odezwała się po raz pierwszy – …ja wyjeżdżam za granicę i nie wiem, no, trudno mi przewidzieć, kiedy wrócę…

– Mnie też trudno byłoby znów tu przyjechać, bo teraz moje badania będę przeprowadzał jesz­cze dalej od Bad Polzin niż dotychczas, więc…

– Rozumiem, w takim razie my zapewnimy odpowiednią oprawę uroczystości. Mogą też państwo wskazać ojca chrzestnego. W związku z pana statusem i osiągnięciami proszę brać pod uwagę funkcjonariuszy z najwyższej półki.

– Szczerze mówiąc, nikt nie przychodzi mi do głowy…

– Już wiem! – zawołał radośnie dyrektor. – Coś sobie nagle uświadomiłem. Za dwa miesiące mamy zapowiedzianą inspekcję samego Reichs‑führera Himmlera. Na pewno nie odmówi, gdy dowie się, kto jest ojcem dziecka.

– No, ale ja nie bardzo bym chciał…

– Ależ doktorze, takiego prezentu dla Führe­ra nie ma co się wstydzić! Pańskie nazwisko pozna tylko ojciec chrzestny. Wybrali państwo imię czy też pozostawiają to nam?

– Johannes – stwierdził zdecydowanym głosem mężczyzna, kobieta się nie odezwała.

– Piękne imię, proponuję dodać na drugie Heinrich, to dla ojca chrzestnego będzie miłe. Johann Heinrich, już notuję.

Po załatwieniu formalności szybko opuścili budynek, nie oglądając się za siebie.

– Skąd ten Johannes? – Kobieta nie kryła zdziwienia.

– Tak przyszedł mi do głowy, kiedy dyrektor zapytał. A co, nie podoba ci się? – roześmiał się sztucznie.

– A jaka to różnica?! – Kobieta lekceważąco machnęła ręką.

Długi, czerwcowy dzień postanowił chyba wreszcie odpocząć po szesnastu upalnych godzinach, lecz nawet po zachodzie słońca temperatura była jeszcze niezwykle wysoka. W milczeniu wsiedli do samochodu. Mężczyzna ruszył z piskiem opon.

– Rano muszę być w Hamburgu – rzucił do kobiety, która kurczowo złapała się bocznego uchwytu. A dokąd ty niby wyjeżdżasz? – zapytał po chwili z kpiną w głosie.

– No przecież wracam…

– Tak myślałem. Mnie naprawdę wysyłają da­lej na Wschód, i to na dłużej, więc jadę z rodziną.